

Anna Onichimowska



Koniec świata i poziomki

Anna Onichimowska

KONIEC ŚWIATA I POZIOMKI

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-53-8

Copyright © Anna Onichimowska

Projekt okładki: Katarzyna Kołodziej

SPIS TREŚCI

<u>Baloniki</u>	(3)
Wyruszamy	(5)
Tajemnicza skrzyneczka	(7)
Kichający nieznajomy	(10)
Opowieść Maurycego	(12)
Kolejne odkrycie	(16)
Namiot, olbrzym i łódka	(18)
Trzy rzeki	(20)
Nocna przygoda	(22)
Deszcz, Albert i my	(25)
Parowiec	(26)
Próba porwania	(28)
Na pełnym morzu	(31)
Bal	(33)
Wyspa Smutnych Szewców	(36)
Podróżowanie w powietrzu	(39)
W dżungli	(42)
Uwięzieni	(45)
Skarb	(47)
W poszukiwaniu Józefa	(50)
Niespodziewana adopcja	(53)
Nareszcie w domu	(56)

Baloniki

Poranek był taki, jaki powinien być, kiedy się idzie na koniec świata. Wszystkie rzeczy stały już spakowane w jadalni: duże i małe walizki, kosze i sporo rozmaitych siatek. Krążyłem między nimi, ciągle jeszcze na bosaka i w piżamie, ponieważ nie bardzo wiedziałem, jak się ubrać. Tatuś pewnie również nie wiedział, bo po chwili stanął koło mnie też w piżamie i na bosaka. Nie mówiliśmy nic do siebie, chociaż chyba myśleliśmy o tym samym.

– Nie stójcie tak, bo dostaniecie kataru – upomniała nas mamusia, wchodząc do pokoju z Józefem na rękę. W różowych śpiochach i obszytej koronką wyjściowej czapce mój brat wyglądał na przygotowanego do drogi. – Jak myślicie – spytała – który wózek będzie najlepszy?

– Aha – domyślił się tatuś – to do wózka chcesz władować te wszystkie bagaże?

– Jak to? – zdziwiła się. – W wózku jak zwykle pojedzie Józef.

– A walizki? – spytał tatuś i usiadł na największej. Na znak poparcia usiadłem obok niego.

– Nie wiem – zmartwiła się mamusia. – Ale chyba nie cały czas będziemy szli na piechotę. Koniec świata jest, jak sądzę, dość daleko.

– Tak czy inaczej, walizki zostają. Zostają też kosze i siatki. No i wózek, rzecz jasna.

– Z Józefem? – przestraszyła się mamusia.

– Józefa wsadzimy w nosidełka – zdecydował tatuś. – I weźmiemy jeden duży plecak. O, ten. – Wskazał na najbardziej wypchany, czerwony, do którego przywiązany był luzem metalowy kubek i trampki mamusi.

– Ale ja nie pamiętam, co w nim jest – zaprotestowała. – Być może potrzebniejsze rzeczy są całkiem gdzie indziej.

– Być może – zgodził się. – Sprawdzimy to po drodze. – Zerwał się nagle, pocałował mamusię i Józefa i wybiegł z pokoju.

Józef rozdziawił buzię, pokazując swoje cztery wielkie zęby, a mamusia popatrzyła na mnie pytająco.

– Co o tym myślisz, Karolku?

Próbowałem podnosić po kolei różne plecaki, w końcu zdecydowałem się na płaski, z wojskowego brezentu.

– Wezmę jeszcze ten.

– Nie będzie ci za ciężko? – zaniepokoiła się.

Przymierzyłem i pokręciłem głową.

– W co mam się ubrać? – spytałem.

– Przygotowałam ci wszystko w łazience. Ubierz się i przyjdźcie z tatusem do kuchni.

Na śniadanie nie było dzisiaj płatków owsianych ani ryżu na mleku, tylko kakao, bułki z szynką i ciasto z rodzynkami, zupełnie jak w jakieś święto.

A potem mamusia powiedziała, że musi jeszcze posprzątać i wszystko posprządzić i żebyśmy wynieśli to, co zabieramy, na werandę. Nie było tego w końcu dużo: dwa plecaki, Józef i nosidełko, uporaliśmy się więc szybko.

Kiedy mamusia wyszła, było już południe – takie, jakie powinno być, kiedy się idzie na koniec świata.

– No to idziemy! – Klasnął w ręce tatuś i pobiegł po buszującego w trawie Józefa.

– Spójrz na jego śpioszki! – wykrzyknęła mamusia. – Tylko go umyję, przebiorę i możemy iść – zdecydowała i zniknęła z Józefem w domu.

Tatuś westchnął i podszedł do furty, obok której przechodził właśnie nasz sąsiad.

– Rzucili kolorowe baloniki. Z nosami – poinformował.

– Z nosami? – zainteresował się tatuś.

– Tak – potwierdził sąsiad. – A niektóre mają podobno nawet uszy. Ale nie wiem dokładnie, bo takich nie widziałem.

– Łakoma rzecz, takie baloniki... – powiedział w zamyśleniu tatuś i mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Zaraz wrócę.

– Pójdę z tobą! – Chwyciłem go za rękę.

– Pilnuj bagaży – poprosił. – Wkrótce będę z powrotem.

Patrzyłem za nim tak długo, aż zniknął za krzakami jaśminu.

Ciekawe, czy będą z uszami, zastanawiałem się.

Wtedy wyszła z domu mamusia z wyperfumowanym Józefem na rękach. Miał teraz na sobie śpiochy w zielone zające i okropnie ziewał.

– Nakarmiłam go przy okazji – powiedziała. – Teraz powinien być grzeczny.

Wsadzimy go w nosidełko i będzie spał. Prawda, mały zajączku? – spytała pieśczośliwie, gilgając go pod bródką. Zabuczał coś po swojemu i zamknął oczy. – Ruszamy! – ucieszyła się.

– Sami? A kto będzie niósł ten wielki plecak?

Mamusia rozejrzała się niespokojnie.

– Gdzie tatuś? – spytała po chwili.

Powiedziałem jej i zaraz poczułem się głodny. Nie wiem, co miały z tym wspólnego baloniki, ale widocznie coś miały.

– Co zjemy dzisiaj na obiad? – spytałem.

– Na obiad?! – Oczy mamusi zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – Przecież... – zająknęła się – przecież wyruszamy...

– Pewnie – zgodziłem się od razu. – Ale możemy przecież ruszyć po obiedzie, prawda?

Mamusia uśmiechnęła się jakby z przymusem i weszła do domu. Józefa wzięła ze sobą.

Poszedłem sprawdzić, czy nie dojrzały czasem nowe truskawki. Sprawdzałem tak długo, aż poczułem, że właściwie wcale nie jestem głodny, i wtedy usłyszałem skrzypienie furtki.

*

Były niebieskie, czerwone i żółte. Miały wielgachne nochale i dziwne, małe uszka. Tatuś trzymał je mocno w obu garściach, a one zdawały się unosić go w powietrze. Wyglądało to tak, jakby z dużym wysiłkiem trzymał się jeszcze ziemi.

– Karolu! – wołał. – Karolu! Pomóż mi!

Podbiegłem do niego, a on podał mi kilka sznureczków. Poczułem się tak lekki, jakbym nic nie ważył. Skakaliśmy z tatusem wielkimi susami po ogrodzie. Mama zaraz wybiegła z domu i zaczęła krzyczeć, że ona też chce. Daliśmy jej po dwa baloniki i unieśliśmy się wszyscy razem nad grządkami tulipanów, nad truskawkami i szczypiorkiem.

– Au! – krzyknęło coś od strony domu.

– Józef! – Roześmiała się mamusia, skacząc ku werandzie.

Niech on też pofruwa, pomyślałem.

Mamusia przywiązała baloniki do balustrady, żeby nie poleciały, a Józef, siedząc po turecku, ślinił się i szczyrzył zęby. Umocowałem do szelek jego śpioszków żółty balonik i, zanim zdążyłem pochwalić się tym mamusi, Józef wisiał pod sufitem werandy.

Żeby ściągnąć go na ziemię, musieliśmy przynieść spod czereśni drabinę. Była bardzo lekka, bo przywiązaliśmy do niej baloniki.

– Mam świetny pomysł – pochwalił się tatuś, gdy siedzieliśmy już wszyscy przy stole, na którym dymił gar zupy. – A właściwie – poprawił się – kilka pomysłów. Po pierwsze, przywiążemy do naszych plecaków baloniki.

– I do Józefa – dorzuciłem śpiesznie.
– Nie będziemy chyba brać w podróż drabiny – zaprotestowała mamusia.
– Po drugie... – ciągnął tatuś – będziemy jeść zupę z garnka, żeby nie brudzić talerzy.
A po trzecie, po zjedzeniu ja zajmę się garnkiem. Inaczej na pewno dzisiaj nie wyruszymy. –
Zamachał nam przed nosami łyżką.
– Pozmywasz? – spytała z niedowierzaniem mamusia.
– Tego nie powiedziałem – zaczął się bronić. – Powiedziałem tylko, że się zajmę. Z
czego jest ta zupa? – zainteresował się.
– Z papierka – powiedziała nieśmiało mamusia i szybko dodała: – To znaczy z
torebki. Błyskawiczna. Niczego innego nie mamy już do jedzenia. Przecież jedziemy, więc...
– Tak, oczywiście – przerwał jej tatuś. – Oczywiście. Czy mogę zabrać już garnek i
łyżki?
Kiwnęliśmy głowami, a on wziął pod pachę garnek i zniknął w głębi ogrodu. Po
chwili pojawił się, wyjął z komórki łopatę i nie zwracając na nas uwagi, oddalił się śpiesznie.
– Gotowe – zameldował po powrocie, otarłszy pot z czoła.
Kiedy zakładaliśmy plecaki, zapadał właśnie zmierzch; taki, jaki powinien być, kiedy
się idzie na koniec świata.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI